

KRONIKA LITERACKA.

Święty Jur. Powieść w trzech częściach, przez Jana Zacharyasiewicza. Lwów, 1862.

Jest to powieść dążnościowa.

Nie naszą jest rzeczą tykać dążeń tej książki. Zdolniejsi od nas i świadomsi przedmiotu, niejednokrotnie się już o to rozprawiali; zresztą, równie i nie pora potemu. A nawet, niepotrzebnieby się i kłopotać w tym względzie, bowiem wcale nie o suchą polemikę, ani o wywody historyczne tu idzie. Rzeczą zaś jest więcej niż pewną, że nie dążność stworzoną została dla owęj książki, ale raczej ona dorobiona do dążeń; ztąd słusznie będzie osądzić ją według formy w jakiej się wcieliła w życie, nie wiele się nawet wdając w przypuszczenie w niej wzorków z bieżącego pokolenia, chyba o tyle, o ile się znajdują w związku z ogólnymi prawami studyów z natury.

Przedmiot tej powieści rozwija się na następnych danych:

Od czasów wielce odległych, istniał na Rusi ród szlachecki niejaki Szetyckich. Byli wielce przemożni i nieraz nawet władcy miejscowi z korzyścią posługiwali się ich radami. Z postępem czasu, kiedy się Ruś spłynęła z Polską, stali silnie przy walce o równouprawnienie, a gdy i do niego przyszło, jeden z nich (a było ich naówczas wszystkiego dwóch braci) znajdując, że nie było innéj różnicy między obu ludami, jak tylko w rzeczy powierzchownego obrządku służby Bożej, powodowany zdrową polityką, porzucił cerkiew dla kościoła. Od tych dwóch braci poszły dwie linie, różniące się obrządkiem, ale silnie zrosłe ze strony cnót obywatelskich i miłości rodzinnej ziemi. Kiedy ziemia ruska przeszła pod panowanie Austrii, Szetyccy rozpierzchli się po

świecie i poprzepadali gdzieś bez śladu, na skutek czego, z powodów mało w powieści wyjaśnionych, majątki ich, i tak już znacznie różnemi czasy na potrzeby ojczyzny umniejszone, przeszły w ręce jakiegoś dalekiego krewniaka. Krewniak ten, kawał niepomiernego warchoła, nadokazywawszy się po świecie, zapieczętował nieużyteczne życie zapisem, znacznych jeszcze resztek pozostałego po Szetyckich mienia, na rzecz prawych potomków tego rodu, dodając do zapisu warunek znaczenia tak głębokiego, jak się po nim ani spodziewać należało.

W tém miejscu napotykamy już ramy samej powieści.

W chwili kiedy się ona rozpoczyna, dwóch jest jedynych przedstawicieli rodu Szetyckich: z tych jeden Porfiry, idący wprost od Atanazego, który był pozostał przy cerkwi; a drugi niejaki Karol Grocki, syn ostatniej Szetyckiej z odrośli obrządku łacińskiego. Skutkiem tedy brzmienia legatu, albo oni oba wezmą dziedzictwo przodków, albo jeden z nich, albo żaden. Wymaganie bowiem spadkodawcy jest dziwne; cóż robić—daj Boże żeby wszyscy spadkobiercy bywali w podobnym z téj przyczyny kłopotcie; byłoby mniej wypadków bezmyślnego a tak często i bezsumiennego czyhania na dziedzictwo, mniej gorzkich zawodów ze strony ludzi zmuszonych bezdziennie żegnać się z życiem, słowem mniej obustronnego nieporozumienia; dziwi nas tylko, że do tak wzniosłego pojęcia rzeczy wzbić się mógł człowiek, któremu autor szczerze oddaje sprawiedliwość, że był raczej chwastem jak lato-roślą z Bożej winnicy. Może wyrzut sumienia, może nagły zwrot w siebie, żal za lepszą przeszłością; koniecznie coś takiego być musiało: bądź jak bądź, rzecz ta zostawiona jest domysłowi.

Tymczasem zapoznajmy się nieco bliżej z głównymi bohaterami powieści.

Porfirogo, sierotę od lat nader wczesnych, przygarnął był szkolny towarzysz jego ojca ksiądz Onufry, pleban właśnie w jednym z majątków należących do dziedzictwa po Szetyckich. Był to człowiek bardzo zacny, i dla tego wielce prześladowany od losu. Wychował on Porfirogo jak własne dziecko, na równi z jedyną córką, którą kochał nad życie. Dziewczyna ta od dzieciństwa przywiązała się do Porfirogo, ale chciwy wrażeń młodzieniec, rozteścił się, rozniepokoił, ciasno mu się zrobiło w skromnej zagrodzie przybranego ojca; wyleciał na świat, zaczerpnął pełniejszych powiewów, dopatrzył szerszych widnokręgów, i odepchnął Eudoksyę, właściwie tłumacząc sobie że mu zawadza na drodze, ale w rzeczy, z braku pociągu serca do téj duszy prosta-

czój i mało wymagającej. Podobne były i losy Karola; zobaczymy poniżej, że i drogi ich poszły ściśle równolegle. Ten, równie jak i poprzedni, od dzieciństwa zostawiony sobie, wyrabiał się pracowicie i z ciężkiem utrapieniem ducha. Rozbijał się, marzył, wierzył, wpadał w rozczarowanie, wracał znowu, tęsknił, cierpiał, przebywał próby, już, już czołem sięgał nieba; kiedy wtém ostatecznie rozbił się u brzegu, przyłgnąwszy sercem do kobiety, która zaledwie tyle zasługiwała na to miano, że była rodzaju żeńskiego. Z tą panią tak mało zaczął, która mówiąc nawiasem jest jeszcze i cudzą żoną, rozmaitemi czasy, to zrywa stosunki, to wraca do niej; zawsze według jój wyłącznego zachcenia. W takim to stanie rzeczy zastaje obu tych panów nadzieja dziedzictwa. Żaden z nich na pierwszy rzut oka nie wygląda na możliwego spadkobiercę. Może się opamiętają? zobaczymy to wprędce.

Tymczasem, wykonawcą testamentu jest niejaki Korybut człowiek zacny, poświęcający się dla drugich, a jak w obecnej okoliczności, nader zdrowo pojmujący rzeczy. Zaczyna on od tego, że usiłuje ściągnąć do siebie obu młodzieńców, celem zabrania z nimi znajomości, a następnie rozporządzenia zapisem, koniecznie na korzyść obudwu, choćby mu przyszło włożyć w to całą pracę swego ducha, której nie zwykł nigdy oszczędzać. Na pierwsze jego wezwanie, Porfiry wybiera się do Lwowa, ale przyjechawszy tam, wiedziony fałszywą zasadą, udaje się naprzód do swego wuja, bogatego prałata, który nigdy nie dbał o niego dopóki był biednym, a za to wielce go czule przyjmuje teraz, kiedy wie, że mu się wielce przydać może. Knuje on bowiem projekt zagarnięcia dla niego całego dziedzictwa, a następnie użycia jego wpływu w pewnej sprawie nieco się obawiającej światła dziennego. W tym celu, wyszukuje mu przedewszystkiem bogatą i ładną żonę, a wiele jeszcze innych względów położywszy na szali, wybór jego pada na niejaką pannę Wyrwicz, córkę bogatego, wielce szanowanego, i przeto wpływowego obywatela. Dla zapobieżenia zaś, żeby mu w tém Eudoxya przypadkiem nie pokrzyżowała planów, a także w celu pozbycia się dobrego nad Porfiry wpływ, uzyskuje przeniesienie ojca dziewczyny daleko gdzieś w góry, gdzie tenże, i tak już bardzo biedny i do tego przyciśniony do ostatka chorobą córki, ma jeszcze przed sobą przykrą przyszłość, być proboszczem bez probostwa. Jednocześnie, Korybut, korzystając z tego, że właśnie Grocki odebrał był od swojej ukochanej list stanowczo zrywający, podobnież układa zamiar swatania go z piękną Wyrwiczówną. Z téj mimowolnej chęci

sprowadzenia ich obu do jednakowego mianownika, wypada jednak ta niespodzianka, że Grocki, przyszedłszy w towarzystwie Korybuta z pierwszą wizytą do Wyrwiczów, zastaje tam swoją Helenę; Porfiry zaś, przybywszy w chwilę potem z wujem, znajduje tam podobnie Dosię. W kilku słowach wytłumaczymy tę zagadkę. Co do Heleny, ta postaremu dowiedziawszy się o planach Korybuta, umyśliła popsuć je przez przyjaźń dla Wyrwiczówny, pociągając znowu Grockiego do siebie. Z Dosią zaś dłuższa nieco historia. Jak wspomnieliśmy wyżej, rozniemogła się ona mocno; było to coś nawet zagrażającego suchotami: ani sposób tedy udać się z ojcem w góry, tam powietrze tak przykre! Lekarz kazał jej mieszkać we Lwowie, ale o czém tu, i jak sobie radzić samój? Pocziwa dziewczeczka umyśliła poszukać sobie obowiązków jakich we Lwowie, żeby i mieć tam żyć o czém, i ojcu nie być ciężarem, i jeszcze jemu coś mózgu udzielić. Wiezie ją tedy strapiony ojciec do Lwowa. Ale Bóg nigdy nie opuszcza niesłusznie prześladowanych, a ludzie uczciwi umieją się wyszukać choćby w kocu maku. Stary pleban trafia na Korybuta, a ten niezwłocznie pomieszcza córkę jego w domu Wyrwiczów, dla towarzystwa Waleryi.

Zatrzymaliśmy się na wieczorze u Wyrwiczów. Łatwo przewidzieć, że Walerya Wyrwiczanka nie będzie żoną żadnego z naszych bohaterów. Grocki, na pierwsze miłe spojrzenie, wraca znowu do swojej zalotnicy, poczem znów jest wyprawiony za drzwi, i znów ma ochotę wrócić, i takby trwało aż do znudzenia, gdyby go nareszcie autor nie uratował niejaką Marynią, spotkaną przypadkiem na koncercie, a osobliwie pracą około dobra publicznego. Podobnej pracy, choć w całkiem innym kierunku, oddaje się też gorliwie i Porfiry, wyrobiwszy sobie w Dosi siostrę na miejsce kochanki, co istotnie dzieje się tylko ku jego własnej korzyści. Następnie wybiera się w podróż, przed którą radby jeszcze odwiedzić rodzinne Zahorce, będące już jego własnością, na skutek wpływu, jakim wuj jego poparł wytłumaczenie testamentu. Także w podróż, tylko nieco dalszą, wybiera się stary Wyrwicz i Grocki. A jednak, choć się tak porozjeżdżali, spotykają się wszyscy u wspólnego celu. Mianowicie Porfiry, wyleczony całkowicie i z wuja swego i z wszelkiej rzeczy która jego jest. Puścił się w drogę z Szewczenką w kieszeni, napotkał Szełę, przestraszył się sam siebie, i wrócił. Ostatecznie żeni się z Dosią, a Grocki z Marynią.

Taka jest treść tej powieści.

Układ jej nie pozostawia nic do życzenia, jest dobrze obmyślany, foremny, prowadzenie rzeczy szczęśliwe, obrazowanie pełne wprawy. O charakterach rozmaicie jest do powiedzenia. W ogóle, ujemne wyszły najszcześliwiej; czego jednak, mając na względzie dążność powieści, bynajmniej nie należy uważać za wadę. Wuj Porfirego najpracowiciiej jest wystudjowany. Podobnież książd Petryk, Szpincer, Ejchenblatt, Maszek, Szrejer, zdają się być brani wprost z natury. Istna to wieża Babel, od której każdy rozchodzi się w swoją stronę. Ejchenblatt, przedstawia tu niby urzędową ideę budowania na ruchomym gruncie. Z całą swoją biurokratyczną dobrą wiarą, z całą pompą swoich przekonań, z całym swoim pracownicie przetrawianym systematem, człowiek ten jest tylko manekinem poruszającym ręką lichego pisarczyka, który nie umie wprowadzić (a raczej nie chce) perorować, ale za to pokątnie, z wielką abnegacją, robi swoje, mając trafne przeczucie istotnego ducha prawa. Szrejer, powierzchownie wyniosłość, z której przyjemnie jest rzucić okiem, w rzeczy, jest tylko zaczajonym dołkiem, w który wpada mnóstwo zacie-trzewionych głupców, nie umiejąc nawet zdać sobie sprawy, jak się to stało. Książd Petryk wyobraża grube i zbyt wyraziste instynkta, nie zdolne wznieść się do téj estetycznej wysokości, na jakiej tak dobrze się dzieje szczerwanemu prałatowi, wychodzącemu zwycięzko równie z zawstyżenia jak z pozornych zawodów. Szpincer-Szejko, rodzaj moralnego oberwańca, wiecznie stojącego w gotowości na rozstajnych drogach, wiecznie nurtującego, myszkującego, wachającego, zaprzątniętego, godnie wyobraża praktykę ciemnych teoryj ducha prawa, wyznawanych pokątnie przez podobnych Maszkowi. Trochę tylko może zanadto jest Mefistofilem, zanadto go jakoś zawsze i wszędzie, w porę i z powodzeniem; ale to względ podrzędny: tego rodzaju ludzie wschodzą gdzie ich nie posiejesz.

W ogóle powiedzieć można, że w tym szeregu studyów (a przytoczyliśmy tylko ważniejsze) wyczerpano z wielką prawdą wszelkie możebne kombinacye tego, co byśmy nazwali ujemną stroną miejscowego spokoju i domowego szczęścia w wspólném pożyciu.

Za to obóz przeciwny nierównie mniej urozmaicony. Z dwóch głównych bohaterów powieści, Porfiry więcej nieco obudza zajęcie, ale i to nie tyle, ileby życzyć należało. Przypisujemy to nie dość wyraźnym obrysom jego postaci. Jakoś on nie dość samodzielny,

nie dość wyraźnie odstaje od tła ogólnego. W tym względzie Grocki, acz znowu dziwnie baraniego serca, nierównie wyżej pociąga ku sobie, właśnie tém, że jeszcze znać go dobitnie nawet pomiędzy Korybutem i Wyrwiczem. Ci dwaj ostatni wraz z księdzem Onufrym, wyobrażają trzy rozmaite fazy przekonań, którym hołdują. Ksiądz Onufry prostaczy duchem, przeczuwa położenie, Korybut broni go sercem, a Wyrwicz głową. Jestto logiczny podział pracy, któremu trudno odmówić uznania. Gdyby tylko charaktery nie tyle się spływały z sobą; ale zapewne nie zależało od autora być zrozumialszym.

Przystępujemy wreszcie do kobiet: jestto najślubsza strona powieści. W ogóle charaktery mało tu są szczęśliwie pomyślane, mniej jeszcze może poprzeprowadzane pomyślnie. Mamy tu jednocześnie aż trzy kochanki. W powieści, w której każda z osób ma sobie wyraźnie wytknięte dążnościowe cele, należałoby się i po nich spodziewać posłannictwa. Przypatrzmy im się po kolei.

Dosia przy całej swojej pocziwości, słodczy, cierpieniach, suchotach i biedzie, jest sobie marném, pospolitém dziewczątkiem, żadną miarą niestworzonym do wywierania wpływu na człowieka tak rzucanego z procy, jak jest Porfiry. Pojmowalibyśmy jeszcze przywiązanie do téj biernéj istotki, bo serce nie rozumuje; ale Porfiry wcale jęj nie kocha, a żeni się z nią. Mogło to być przez wdzięczność dla dobroczyńcy, przez zrobienie sobie zadania życia z uszczęśliwienia kogoś drugiego, jeśli się już samemu szczęśliwym być nie może, słowem przez poświęcenie; ależ w takim razie należało raczej rozwinąć ten dramat w duszy Porfirego, aniżeli zbyć trudność, nazywając miłością mimowolny chłód serca w połączeniu z roztargnieniem umysłu. Snadź tyle ich udrgczywszy oboje, pożałował wreszcie autor podstawić im nowe próby i dla tego wołał z Waleryi zrobić marmurowy posąg bez czucia i woli; każda bowiem kobieta mniej zimna, w podobnych jak ona warunkach, musiałaby koniecznie przyciągnąć Porfirego do siebie.

Druga z rzędu kochanka, Marynia, usilnie przez autora nazywana aniołkiem, podobna jest do podpisanego obrazka, który gdyby nie słowa pod spodem, niktby się ani domyślił: co znaczy. W ogóle czytelnik woli zawsze sam sąd wydać, niż mieć go sobie narzuconym. Dlaczego Marynia jest aniołkiem? nie wiemy. Wiemy tylko, że to dokładniejsza jeszcze laleczka od swojej poprzedniczki. We względzie zakresu jęj działania, powtórzyć jedynie możemy to, cośmy tylko co powiedzieli z powodu Waleryi. Taż sama przyczyna, tenże sam sprowadza tu skutek. Istotnie bowiem,

oba nasi bohaterowie jednocześnie, jakby piłki rzućani do tego samego celu, obijają się o posagową postać Wyrwiczówny i padają każdy gdzie się zdarzyło najbliżej, że nie powiemy, gdzie bądź-
kolwiek. Do tego, ten biedny Grocki, doprawdy tak mało miał wyboru!

Bo trzeba wiedzieć, co to było to jego poprzednie bożyszcze. Pani ta należy niby do wyższego towarzystwa lwowskiego. Ale czyżby istotnie takie być miały wielkie damy Lwiego grodu? Nam się to jakoś nie zdaje. W sferach tych istotnie wiele ma być zgnilizny; ale wyobrażamy sobie szaty zwierchnie jakoś powabniejsze. Darujemy jej wreszcie pisarza z rogatki, nazywającego się poprostu Łukaszem; ale nie możemy pojąć, dlaczego ten Łukasz, będąc w tak poufałej styczności z kobietą młodą, piękną, poszukiwaną i królującą, sam jest brudny i obszarpany. Do tego jest jeszcze brzydki, niezgrabny i głupi; ale to już rzecz nie nasza, choć istotnie może tego wszystkiego i nadto na raz, zważywszy, że cośkolwiek powinno by usprawiedliwiać urok pierwszego spotkania. Ale najciekawszym jest wychowanie tej wielkiej damy. Wyraża się ona tak, jak się u nas wyrażają tylko niezbyt wiotkie Heby, wydzielające spirytualistom kminkówkę po szynkowniach, że nie powiemy już energiczne kumoszki z rynku Starego Miasta, o czerwonych policzkach a ciężkiej garści. Na dowód przytoczyć możemy próbek parę:

— Niech cię diabli porwą z tą przeklętą dyskrecją... czy inaczej nie umiesz pan gadać?

I wyżej nieco:

— Idź pan sobie na złamanie karku... i t. p.

To złamanie karku szczególnie jej jest ulubione; powtarza je nader często z pewnym upodobaniem, o które trudno posądzac autora. Mogła tych wyrażen nazdobywać na rogatkach, pomyślicie; — gdzie tam! Łukasz, jak na Łukasza, jest jeszcze człowiek wcale przyzwoity w porównaniu z tą arystokratyczną damą. Mamy tedy wszelkie powody unniemać: że Helena jest jaskrawą karykaturą. Pomysł ten wcale chybia celu. Taki bowiem wrzód społeczny jak ta pani, sam już z siebie dość sprawia obrzydzenia; wszelka zaś exageracya w tym względzie jest tylko przesadą przesady.

Tedy, jak widzimy, płęć żeńska dość niepomysłnie przedstawiona jest w naszej powieści. Wszakże poprawia nieco jej sprawę charakter Wyrwiczowej, o którym warto powiedzieć słów kilka. Nie jestto wcale typ nowy, ale takich choćby najwięcej,

nigdy się nie sprzykrzą. Kobieta to, która poszła za mąż nie z miłości, ale z przekonania. Godna dzielić trudy swego zacnego męża, godna go ocenić, być mu powiernicą i iść obok niego ręką w rękę, nie pokochawszy zrazu zapamiętale, kocha go jednak całym spokojem swęj duszy, nawet więcej czci, niż kocha. Miłość ta, cicha, słodka, cierpliwa, stała się powołaniem tej kobiety, jęj potęgą, jęj cnotą. Takiemi były prababki nasze, dziś już prawie bezdzietne...

Zbliżając się ku końcowi naszego sprawozdania, przekonujemy się z żalem, że pomimo najlepszych naszych chęci, pod skalpelem analizy, zostały nam w rękach zwiędłe tylko członki, porzucone bezładnie. Cóż robić; rozbieraliśmy ciało, nie tykając duszy. Ale też dusza, jak wiemy, nie jest dotykana.

Pan Zacharyasiewicz jest pisarzem znacznych dążności. Obywatelskie jego chęci wybierają z upodobaniem przedmioty żywotne. Chętnie on stawia na wyłomie, walczy na kresach, mało spoczywa, wiedząc, że szlachetny niepokój snem pogardza, a bieda o wszelkiej godzinie rada się podkraść na wzór złodzieja. Po walce przychodzi zwycięstwo. Nie zawsze mu się ono udaje, ale jak powiada stara mądrość: *in magnis navet voluisse sat est.* (f).

Z przeszłości szkice i obrazy. Artykuły fejetonowe Józefa Łepkowskiego. Kraków. W drukarni Czasu. 1862. W 12ce. Str. 291.

Jeżeli zrobiliśmy znakomity postęp w badaniach dziejów ojczystych, i zapatrujemy się na nie z innego stanowiska jak przed laty czterdziestu, to w nauce starożytności (*Antiquitates*) bardzo mały krok naprzód uczyniliśmy.

Życie domowe ojców naszych, zwyczaj ich i obyczaj, w ogólniejszych ledwie zarysach poznany, w szczegółach jeszcze ciemny i niezbadany. Przecież bez tej zaprawdę znajomości, wiedza dziejów ojczystych, na długo musi być ograniczoną, bo wiele a wiele przedmiotów nieznanых zostaje, które przecież znakomite światło na same dzieje narodu rzucają.

Jeżeli wprowadzenie chrześcijaństwa, burząc pogaństwo, w miejsce kontyn i bożyszcz stawiało kościoły i krzyże Zbawiciela, łamało zarazem język bałwochwalczy, naginając go do pojęć no-